

LUSTRO

Prolog

- Ewo, cieszysz się, że tu mieszkamy? – zapytał.

- Bardzo, to był twój pomysł i prawdę mówiąc, wątpiłam, czy zdołamy go zrealizować. Kuba, nie wiem jak udało się tego dokonać. Zawsze marzyłam o własnym mieszkaniu, ale nie przypuszczałam, że będzie miało prawie sto metrów! No i ta lokalizacja... Mamy cztery minuty do Łazienek, mały spacer i już Belweder, Marszałek na nas spogląda, a Chopin gra w Łazienkach.

- Pokój balkonowy ma sporo światła, wystarczy ci do malowania?

- Oczywiście. Martwię się raczej o ciebie.... Czy akustyka w salonie spełnia twoje oczekiwania?

- Jest dobra. Tam nie ma równoległych ścian, efekty są ciekawe. Przedwojenny modernizm sprawdza się, nie tylko z zewnątrz, jako bryła, fascynuje nietypowym planem wnętrza. To w ogóle bardzo oryginalny budynek, ciekawe przestrzenie. Odnoszę wrażenie, że nie tylko ma interesującą historię, myślę, że skrywa wiele tajemnic. Ma niepowtarzalny klimat. Widziałś gdzieś taką łazienkę, usytuowaną w środku mieszkania, wokół której można jeździć na rowerze?

- Jasne, że nie. Bardzo prestiżowe miejsce, nazwa ulicy też fajna – Promienna, słowo kojarzy się pozytywnie. Jesteśmy na skraju Starego Mokotowa. W okolicy zachowało się sporo domów wybudowanych przed wojną. Stoją przy Willowej, Chocimskiej, Puławskiej, Narbutta, Madalińskiego, Kujawskiej. Jak przetrwały wojnę, podpalenia i bombardowania?

- Mokotów zamieszkiwało dowództwo niemieckie, ewakuowali się stąd w ostatniej chwili, może dlatego – odpowiedział.

Część pierwsza

Apartament na pierwszym piętrze stopniowo przekształcał się w stylowe wnętrze. Kuchnia i sypialnia były gotowe, nowi mieszkańcy odetchnęli z ulgą. Prace sprawnie posuwały się naprzód. Po dwóch tygodniach dowieziono pianino. W salonie wciąż trwał remont, Jakub długo rozważał, gdzie je ustawić. Wydał dyspozycję brygadzie remontowej, by przechować je tymczasowo w przedpokoju, w którym prace chwilowo wstrzymano. Podczas manewrów doszło do kontaktu skrzyni pianina ze ścianą sąsiedniego lokalu. Uderzenie było lekkie, ale w ścianie powstała dziura.

Jakuba nie było wtedy na miejscu. Zobaczył otwór po powrocie z pracy, gdy ekipy już nie było. Wiele ścian działowych miało niewielką grubość, tak budowano przed wojną. Często ich wypełnieniem była suprema – zaprawa wymieszana z trzcina. Nawet ściany między

lokalami czasem nie stanowiły solidnej przegrody konstrukcyjnej i akustycznej. W miejscu uderzenia powstała dziura, zza której ziała ciemna przestrzeń.

Ściana powinna być przynajmniej grubości cegły, bo projekt przewidywał przymocowanie do niej regałów z półkami. Nie pozostawało nic innego, jak usunięcie cienkiej ścianki. Jakub udał się do sąsiadów z przeprosinami za powstałą szkodę, licząc po cichu, że w ich lokalu nie doszło do uszkodzeń. Oczekiwał, że wyrażą zgodę na roboty murarskie i malarskie związane z naprawą ściany działowej. Sąsiedzi zareagowali na jego przeprosiny zdziwieniem.

– Proszę niech pan wejdzie, zaproponowali. Wszedł i przeszli do miejsca zdarzenia. Ściana od strony lokalu Jakuba była nienaruszona. Wisiały na niej dwa obrazy, oświetlone niewielkimi kinkietami.

– Niemożliwe! - tak Jakub skomentował ten widok. Po chwili, gdy zorientował się w czym rzecz szybko zareagował:

- Przepraszam za zamieszanie, nastąpiło nieporozumienie – powiedział. Źle zinterpretowałem plan. I wyszedł.

Był w szoku, oglądał właściwą ścianę. Między dwoma lokalami istniała ukryta przestrzeń. Rzut oka na rysunek nie pozostawiał wątpliwości. Plan nie uwzględniał faktycznego rozkładu pomieszczeń. Dobrze, że postanowił zataić przed sąsiadami swoje podejrzenia, biorąc winę na siebie.

Z marszu przystąpił do rozbiórki uszkodzonej ściany. Remontu nie można wstrzymać - robota musiała być wykonana, bo zagadka – pomyślał, powinna zostać rozwiązana bez udziału osób trzecich. Zawołał Ewę, by mu pomagała. Minęła osiemnasta - nie chciał robić hałasu.

Część druga

Odsunęli pianino. Obstukał ścianę, duży jej fragment był cieńszy, wydawał inny odgłos. To mógł być zamaskowany płytą otwór o rozmiarach niewielkich drzwi. Piłą wycinali w tym miejscu kolejne fragmenty ściany. W przedpokoju rosła sterta odpadów. Po godzinie powstał w ścianie otwór, przez który Jakub mógł wejść do tajemniczego pomieszczenia. Ewa przyniosła dużą latarkę. W jej świetle zobaczyli przestrzeń szeroką na ponad metr, miała około trzy metry długości i wysokość taką, jak sąsiadujące pomieszczenia.

Ich oczom ukazał się stojący w szczycie ślepego pokoiku drewniany, ciemnobrązowy regał, za którym była pionowa ściana. Na regale, który sięgał sufitu stały kartonowe pudła. Spojrzeli na siebie pytająco, nie wiedząc co robić dalej.

- Kuba - powiedziała Ewa, zobaczmy, czy na pudłach są daty, jakieś napisy. Nie wiemy, czy ukryto je przed wojną, czy są z okresu niemieckiej okupacji. Może to powojenna robota. Jest ich wiele. Potrzebujemy czasu. Może odwołajmy ekipę remontową, na jeden dzień! Dzień na ogarnięcie tego wszystkiego powinien nam wystarczyć.

Jakub sięgnął po komórkę. Był pewien, że dzień przerwy dla budowlańców nie stanowi problemu, pracowali w kilku lokalizacjach.

- Nasz ekipa jutro popracuje pod innym adresem – usłyszał od ich szefa.

Wysunęli z półki jeden z nieopisanych kartonów, oznaczony numerem 11. Miał rozmiar pudła na buty, nie był ciężki.

- Ewo, to chyba nie są ładunki wybuchowe. Co robimy? – zapytał. – Otwieraj, nie mamy wyjścia, czas nagli.

Po podniesieniu tekturowej pokrywy zobaczyli koperty. Wyjęli pierwszą z nich. Ręce Ewy drżały z emocji. Była wypełniona zdjęciami. Przeszli z kartonem do kuchni i usiedli przy stole. Zdjęcia miały rozmiar pocztówki. Wszystkie posiadały na odwrocie czytelne, odręczne opisy w języku niemieckim. Wykonano je w latach 1939 – 1944.

- Ewa, te zdjęcia to archiwum niemieckiego dowództwa. Oni mieszkali w naszym mieszkaniu przez cały okres okupacji. Od pana ze spółdzielni dowiedziałem się, że w 1940 roku właścicielkę tego mieszkania Niemcy przenieśli do zastępczego lokalu na Marszałkowskiej. Kiedy w 1945 roku tutaj wróciła, w jej mieszkaniu przebywało kilkunastu dzikich lokatorów. Jeszcze ci o tym opowiem. Zobaczmy co zawierają pozostałe pudła.

Oglądanie zawartości kolejnych pudeł zajęło im kilka godzin. Zawierały mnóstwo dokumentów. Jakub znał język niemiecki w stopniu podstawowym. W jednym z pudeł znaleźli stare zegarki, złote i srebrne. Niemieckie i szwajcarskie. Większość miała pamiątkowe grawerowania na dekle, po polsku, hebrajsku, niemiecku, także w języku rosyjskim. Nie mieli wątpliwości, zegarki w chwili ich ukrycia miały wartość zabytkową, która teraz, po kilkudziesięciu latach wzrosła wielokrotnie. Każdy z nich wiązał się z życiem ich właścicieli, historią rodziny. W pozostałych kartonach, poza jednym, były niemieckie dokumenty. W pudle wykonanym z bardzo grubej, szarej tektury odkryli najcenniejsze przedmioty. Była w nim biżuteria - pierścionki, bransolety, naszyjniki, kolczyki, obrączki i inne kosztowności. Niektóre z nich miały wygrawerowane imiona, daty.

Kuba i Ewa patrzyli na siebie w osłupieniu. Po dłuższej chwili Kuba powiedział: - to wszystko musi zniknąć, kartony wywieziemy do nas. Regał też. Ekipie zostawimy tylko ściankę do demontażu. Nigdzie nie zgłosimy naszego odkrycia. Te rzeczy mogą przepaść, chciwych nie brakuje. Ty jesteś malarką, znasz się na sztuce. Przeprowadzimy dyskretne śledztwo, choć wiem, że to będzie niełatwa sprawa. Zastanowimy się, celów charytatywnych nie brakuje.

- Dobrze, Kuba. Jest już noc. Weźmy torby z auta i przenieśmy do niego kartony. Regałem zajmijmy się jutro.

Wszystkie kartony przenieśli w torbach do samochodu. Bagażnik okazał się za mały, kilka kartonów umieścili między siedzeniami. Po drugiej w nocy dojechali do domu i zanieśli je do mieszkania. Na szczęście w trakcie tej tajnej akcji nie spotkali nikogo. Następnego dnia pilne sprawy uniemożliwiły wywiezienie regału.

Część trzecia

Pozostawienie regału okazało się błędem. Szef ekipy remontowej zainteresował się nim. To antyk – powiedział, dodając: skąd się wziął? Kuba postanowił skłamać: przywieźliśmy go z piwnicy mieszkania, które wynajmujemy. To nabytek z targu staroci na Woli, na razie stanie w przedpokoju, Ewa zrobi jego renowację i zdecydujemy, czy tutaj zostanie. Pianino ustawiono przy ścianie bocznej.

Remont zajął kolejne trzy tygodnie. Koszty montażu nowoczesnych instalacji i wykończenia były wysokie. Po miesiącu nastąpiła przeprowadzka. Zawartością kartonów nie byli w stanie się zająć. Zresztą, jak stwierdził Kuba to skomplikowana i poważna sprawa, a podejmowanie pochopnych decyzji nie miało sensu. Zawartość najcenniejszych dwóch kartonów przywieźli z powrotem do sejfu w nowym mieszkaniu, gdy zasłoniła go specjalna roleta wewnętrzna. Urządzanie się w apartamencie, doposażanie i aranżacja pochłonęły kolejne dwa miesiące.

Nadszedł wreszcie spokojny wieczór, gdy wszystkie przedmioty znalezione podczas remontu znalazły swoje nowe miejsce. Cały czas nie opuszczały ich myśli co z nimi zrobić.

Kuba stwierdził – po remoncie jesteśmy w dołku finansowym. Część kosztowności i niektóre zegarki nie mają grawerowania, one są po prostu anonimowe. Proponuję je sprzedać. Pozostałymi zajmiemy się później.

Któregoś wieczoru oboje usiedli z notebookami przy stole. Kuba robił zdjęcia grawerowanych zegarków i biżuterii. Przesyłał je Ewie, by uruchomiła sztuczną inteligencję. Wiedzieli, że obrazy, które wysyłała AI w celu rozszyfrowania historii przedmiotów z fotografii, nigdy nie znikną z internetu. Będą powiązane z jej tożsamością i ta wiedza może być wykorzystana przez system. Byli świadomi, że nie pozostaną anonimowi, mimo tego, postanowili podjąć poszukiwania wszelkich informacji o właścicielach odnalezionych rzeczy.

- Wiesz, powiedział Kuba – prawdopodobieństwo odnalezienia kogokolwiek jest znikome. Materiały i informacje z pierwszej połowy XX wieku w zasobach internetowych są nikłe. Wprowadzane stopniowo od niedawna, nie wystarczą, by system znalazł rzetelne powiązania obrazów, zdarzeń, osób, faktów.

- Wrzucę zdjęcia w system „jak leci”, wskazywanie Warszawy jako zawężonego obszaru poszukiwań na pierwszym etapie byłoby błędem – stwierdziła Ewa. Kuba zgodził się z nią. Dwie związane ze sobą obrączki z wygrawerowanymi imionami Estera i Alfred oraz tą samą datą 14.05.1936 postanowiła sprawdzić na początku.

Jeszcze nie umieściła w google zdjęcia, gdy Kuba poprosił by się wstrzymała. Znalazł informację o polskim prawie, które obowiązuje w przypadku znalezienia cennych rzeczy, skarbów, etc. Zgodnie z ustawą o ochronie zabytków, każdy przedmiot o wartości historycznej, naukowej lub artystycznej - jeśli zostanie uznany za zabytek archeologiczny - automatycznie staje się własnością Skarbu Państwa. Znalazca ma obowiązek zabezpieczyć obiekt, oznaczyć miejsce odkrycia i niezwłocznie powiadomić wojewódzkiego konserwatora zabytków lub policję. Za uczciwe zgłoszenie można otrzymać nagrodę pieniężną - jej wysokość zależy od wartości i znaczenia znaleziska, ale nie może przekroczyć 25-krotności średniego miesięcznego wynagrodzenia w gospodarce narodowej.

- U licha, stwierdził, przecież pojęcie zabytku archeologicznego jest bardzo obszerne. Ewa, wstrzymaj się z szukaniem przez internet. Możemy narazić się na ryzyko naruszenia prawa, nie chcę kłopotów.

Część czwarta

Kilka złotych pierścionków, trzy bransoletki, dwa naszyjniki i kilkanaście zegarków, które nie miały żadnych grawerowań Kuba wycenił w zakładzie jubilerskim, który był także komisem, oferującym antyki. Oświadczył, że to stare pamiątki rodzinne, przekazywane z pokolenia na pokolenie. Jubiler w ciągu kilku minut wycenił je na kwotę 150 tysięcy złotych. Kubę zdziwił jego pośpiech. Zapłacił za wycenę, ale postanowił zweryfikować ją u innego jubilera. W innym zakładzie przedstawił do wyceny wyłącznie zegarki. Poprosił o ich wycenę, zaznaczając, że to kolekcja rodzinna, której nie chce się pozbywać, chyba, że cena okaże się wysoka. Po dwugodzinnym oczekiwaniu otrzymał propozycję ich zakupu. Przy każdym zegarku umieszczono karteczkę z wyceną i krótkim opisem. Cena najdroższego sięgała siedemdziesięciu tysięcy, łączna ich wartość wyniosła blisko dwieście pięćdziesiąt tysięcy złotych. Powiedział, że zastanowi się i w ciągu tygodnia da odpowiedź.

Kolejne wieczory Kuba i Ewa spędzili na studiowaniu internetu. Krótkie opisy były bardzo pomocne. Orientacyjne ceny na rynku zachodnim były wyższe o połowę od ceny jubilera.

Część piąta

Kilka dni później Kuba umówił się na kawę z Markiem, kolegą ze studiów, który od dziesięciu lat pracował jako radca prawny w kancelarii przy Alejach Jerozolimskich. Pytanie sformułował ostrożnie, jakby dotyczyło cudzej sprawy.

– Gdyby ktoś, hipotetycznie, znalazł podczas remontu coś wartościowego – zaczął – to jakie miałby obowiązki?

Marek odłożył łyżeczkę.

– Hipotetycznie – powtórzył, nie bardzo w to wierząc.

– Zależy, co to jest to „coś” i gdzie zostało znalezione. Zwykła rzecz zgubiona to jedna sprawa – zgłaszasz staroście albo na policję, czekasz rok, jak się nikt nie zgłosi, możesz ją zatrzymać. Ale są jeszcze skarby.

– Czym różni się skarb od zwykłej rzeczy zgubionej?

– Skarbem jest coś, przy czym szukanie właściciela byłoby, jak to ujmuje ustawa, „oczywiście bezcelowe”. Rzecz ukryta kilkadziesiąt lat temu, bez adresata, pasuje do tej definicji. I tu jest ciekawie: taki skarb staje się współwłasnością znalazcy i właściciela nieruchomości, na której go znaleziono. Pół na pół.

– A jeśli znalazca i właściciel nieruchomości to ta sama osoba?

Marek spojrzał na niego dłużej, niż wymagało tego pytanie.

– Wtedy nie ma się z kim dzielić. Cała rzecz przypada tej osobie. Ale – tu podniósł palec – jest wyjątek. Jeżeli rzecz zostanie uznana za zabytek albo materiał archiwalny, własność przechodzi na Skarb Państwa, a znalazcy przysługuje tylko nagroda. I to konserwator zabytków decyduje, co jest zabytkiem, nie ty.

– A jeśli ktoś zdążył już coś sprzedać, zanim się dowiedział o tych zasadach?

Marek zamilkł na chwilę, mieszając kawę, choć była już wystudzona.

– To zależy od wielu rzeczy, a ja nie jestem karnistą, więc powiem ci to, co wiem z boku. Zatrzymanie rzeczy znalezionej bez zgłoszenia jest samo w sobie czynem zabronionym z artykułu dwieście osiemdziesiąt cztery paragraf trzeci. Sprzedaż tym bardziej. Ale to przestępstwo ścigane bez wniosku, więc w praktyce ktoś musiałby się tym zainteresować, żeby cokolwiek się zaczęło. A jeżeli nie ma pokrzywdzonego, bo właściciele nie żyją od osiemdziesięciu lat i nikt się nie zgłasza – to jest zupełnie inna rozmowa niż kradzież portfela na ulicy. Dobrowolne, całościowe zgłoszenie, zanim ktokolwiek złoży zawiadomienie, zwykle zmienia wszystko. Nie mówię, że to gwarancja. Mówię, że to jedyna droga, która ma sens, jeśli twój hipotetyczny znajomek chce dalej spać spokojnie.

Kuba patrzył przez okno na Aleje.

– A dokumenty? Papiery z czasów wojny?

– To już nie moja działka, ale intuicyjnie powiedziałbym, że to materiał archiwalny. Nagroda przyznawana jest wtedy przez Naczelnego Dyrektora Archiwów Państwowych, nie przez konserwatora. Zgłoś to do IPN-u albo prosto do Archiwum Państwowego. A jeśli w tych papierach albo w biżuterii są jakieś tropy dotyczące ofiar Zagłady – co, sądząc po twojej minie, może być akurat ten przypadek – skontaktuj się też z Żydowskim Instytutem Historycznym. Mają ludzi, którzy zajmują się dokładnie takimi sprawami. Zawodowo, nie po godzinach na forum internetowym.

Kuba podziękował i wyszedł, zanim Marek zdążył zapytać wprost, czyja to właściwie sprawa.

Część szósta

Wieczorem zdał relację Ewie, siedząc przy kuchennym stole, na którym wciąż leżały resztki kartonów po ostatnim sortowaniu. Ewa słuchała, obracając w palcach jeden z niepodpisanych pierścionków.

– Czyli jeśli zgłosimy wszystko teraz, może się okazać, że większość i tak zostaje nasza – powiedziała powoli.

– A jeśli nie zgłosimy, to już teraz jesteśmy przestępcami, tylko jeszcze nikt o tym nie wie.

– Tak to mniej więcej wygląda.

– A to, co już sprzedaliśmy?

Kuba przez chwilę nic nie mówił.

– Musimy to odkupić. Oboje jubilerzy mają nasze dane z wyceny, transakcje są świeże, żaden z nich pewnie się nie ucieszy, ale nie mamy wyjścia, jeśli chcemy zgłosić całość uczciwie, a nie połowicznie.

Odkupienie zajęło im dwa tygodnie i większość oszczędności, które mieli odłożyć na meble do gabinetu Kuby. Pierwszy jubiler zażądał dwadzieścia procent więcej niż zapłacił, tłumacząc się „ryzykiem rynkowym”. Drugi, ten sam, który wcześniej dawał dwie godziny na zastanowienie, tym razem zastanawiał się nad odsprzedażą jeszcze dłużej, jakby przeczuwał, że coś jest nie tak, ale w końcu się zgodził, bez pytań, za cenę zbliżoną do pierwotnej.

Tego samego tygodnia w końcu zabrali się za regał. Miał zostać przewieziony do konserwatora razem z resztą, więc trzeba go było opróżnić z ostatnich, zapomnianych drobiazgów na najwyższej półce i odsunąć od ściany, pod którą stał od tygodni w przedpokoju, udając mebel z targu na Woli.

Gdy Ewa pochyliła się, żeby sprawdzić tylną ściankę regału, cofnęła rękę, jakby ją coś poparzyło.

– Kuba. Chodź tu.

Na odwrocie, przymocowane do tej samej deski, która wcześniej stała frontem do ukrytego pokoju, wisiało niewielkie lustro w mosiężnej ramie, matowe od kurzu i patyny, z rysą przecinającą je po przekątnej. Nikt go wcześniej nie zauważył – w ciemnym wnętrzu ślepego pokoju, oświetlanym tylko latarką, tafla nie odbijała niczego poza mrokiem.

– Osiemdziesiąt lat stało twarzą w twarz z tymi kartonami – powiedziała Ewa cicho. – I nikogo tam nie było, żeby się w nim przejrzeć.

Kuba przetarł je rękawem. Zobaczyli w nim siebie, kuchnię za sobą, stertę biżuterii na stole.

– Może właśnie dlatego ten dom tak się nazywa w papierach spółdzielni – powiedział pół żartem, pół serio – „Lustrzane klatki”. Brzmi, jak nazwa marketingowa dewelopera z lat dziewięćdziesiątych. A budowę domu zakończono w 1930 roku.

Sprawdzanie tego oczywiście nie miało sensu. Geneza nazwy domu z pewnością była inna i nawiązywała do modernizmu.

Część siódma

Domofon zadzwonił we wtorek, krótko przed osiemną. Ewa akurat myła pędzle w kuchni, Kuba siedział przy laptopie, przeglądając po raz kolejny wyceny zegarków.

– Dzień dobry, przepraszam za najście – powiedział głos z domofonu, po polsku, ale z wyraźnym niemieckim akcentem, każde słowo wybierane osobno, jakby ktoś je wcześniej przetłumaczył i teraz odczytywał z kartki.

– Nazywam się Klaus Berger. Rozmawiałem z panem ze spółdzielni. Szukam mieszkania, w którym w czasie wojny stacjonował mój dziadek.

Kuba spojrzał na Ewę. Nie musieli nic mówić, oboje pomyśleli o tym samym kartonie oznaczonym numerem jedenaście.

Wpuścili go.

Mężczyzna miał może sześćdziesiąt pięć lat, szary płaszcz przemoczony od popołudniowego deszczu, teczkę trzymaną oburącz, jakby się bał ją upuścić. Usiadł na brzegu fotela, nie zdejmując płaszcza, mimo że Ewa dwukrotnie zaproponowała, by go powiesić.

– Mój dziadek, Heinrich Berger, służył tutaj od czterdziestego do czterdziestego czwartego – zaczął.

– W dokumentach rodzinnych, które znalazłem po śmierci ojca, jest ten adres. Promienna. Ten sam numer. Wiem, jak to brzmi. Nie przyjechałem po nic, co by mi się należało. Przepraszam za niespodziewane najście. Zdaję sobie sprawę, jak niezręczna to sytuacja. Chciałem tylko zobaczyć miejsce, w którym spędził ostatnie lata życia.

Otworzył teczkę. W środku był plik listów, pożółkłych, zapisanych gotykiem, oraz jedna fotografia w kartonowej oprawce – młody mężczyzna w mundurze, stojący przy oknie, uśmiechnięty w sposób, który nie pasował do tego, czym był ten dom dla ludzi, którzy mieszkali w nim wcześniej.

– Ostatni list, z lutego czterdziestego czwartego, do mojej babki, do Kolonii – mówił Klaus, nie patrząc na nich, tylko na papier.

– Píše w nim, że zostawia jej pierścionek matki i swój zegarek, zamurowane, jak to ujął, „na wypadek, gdyby coś poszło źle po naszej stronie”. Miał wrócić po wojnie. Nie wrócił. Zginął w czterdziestym piątym, pod Wrocławiem. Babka nigdy się nie dowiedziała, gdzie dokładnie to zostawił. Ja też nie wiedziałem, dopóki nie znalazłem tego listu w rzeczach ojca, dwa miesiące temu.

Ewa poczuła, że robi jej się zimno, mimo że w mieszkaniu było ciepło.

– Jaki zegarek? – zapytał Kuba, głosem, który sam uznał za zbyt spokojny.

– Srebrny, kieszonkowy. Pęknięta szybka, nigdy nie naprawiona, bo ojciec dziadka – mój pradziadek – nie chciał, mówił, że pęknięcie to część historii zegarka. Bez grawerowania. Zwyczajny, powiedziałby ktoś, kto by go nie znał.

W kartonie numer jedenaście był taki zegarek. Kuba sprzedał go pierwszemu jubilerowi razem z pięcioma innymi, bez grawerowania, tymi „zwyczajnymi”. Odkupili go trzy tygodnie temu, razem z resztą, żeby zgłosić wszystko w komplecie. Leżał teraz w sejfie, dwa metry od miejsca, w którym siedzieli.

Kuba i Ewa spojrzeli na siebie. Ewa pierwsza przerwała milczenie.

– Znaleźliśmy taki zegarek – powiedziała. – Niedawno, podczas remontu. W ukrytym pomieszczeniu za ścianą, razem z innymi rzeczami.

Klaus zamarł.

– To znaczy... on tam był. Cały czas.

– Osiemdziesiąt lat – potwierdził Kuba.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. Klaus patrzył na swoje ręce, jakby dopiero teraz dotarło do niego, że przyjechał nie po pamiątkę, tylko po potwierdzenie, że jego dziadek naprawdę tu był, naprawdę to napisał, naprawdę nie skłamał w liście do żony.

– Jutro idziemy to zgłosić – powiedziała Ewa. – Wszystko, co znaleźliśmy. Prawnik powiedział nam, że rzeczy, których właściciela da się ustalić, nie są już „skarbem” w rozumieniu prawa. To pana rzecz, panie Berger. Nie nasza, nie Skarbu Państwa.

Kuba milczał dłużej, niż powinien. Myślał o Esterze i Alfredzie, o obrączkach, które oddadzą bez wahania, bez nagrody, bo nie będzie komu ich oddać osobiście, tylko instytucji, tylko pamięci. Teraz stał przed nimi ktoś żywy, konkretny, wnuk człowieka, który nosił mundur okupanta w tym samym mieszkaniu, w którym mieszkanka Promiennej straciła dom w czterdziestym roku. Oddanie zegarka nie było tym samym gestem, co oddanie obrączek. Było trudniejsze, bo nie dawało nikomu satysfakcji moralnej.

– Zgadza się – powiedział w końcu. – Ale niech pan wie, że w tym samym mieszkaniu, w tym samym kartonie, były rzeczy należące do ludzi, którym pana dziadek, czy tego chciał, czy nie, odebrał dom. I być może życie. Nie oczekujemy, że pan to naprawi. Ale niech pan o tym nie zapomina, zabierając zegarek.

Klaus skinął głową, nie próbując się bronić. Wiedział, że jest intruzem, którego potraktowano z szacunkiem.

– Nie zapomnę – powiedział. – Właśnie dlatego przyjechałem sam, a nie napisałem listu. Dziękuję.

Część ósma

Do urzędu dzielnicy zgłosili się w środę, z pełną listą: zegarki, biżuteria, dokumenty, fotografie, regał, lustro. Konserwator zabytków, kobieta w średnim wieku o nazwisku Grabowska, oglądała przedmioty przez dobre półtorej godziny, odkładając je na trzy osobne stosy, bez pośpiechu i bez komentarza, dopóki nie skończyła.

– Dokumenty i fotografie to materiał archiwalny – powiedziała w końcu. – To trafi do Archiwum Państwowego, a przez nie, jak się domyślam, do IPN-u. Poinformuję też Żydowski

Instytut Historyczny w sprawie grawerunków hebrajskich, bo to może mieć znaczenie badawcze, niezależnie od tego, czyją formalnie stanie się własnością.

Wzięła do ręki dwie splecione obrączki z wygrawerowanymi imionami Estera i Alfred.

– To akurat nie jest zabytek w rozumieniu ustawy. Zwykle złoto, żadnej wybitnej wartości artystycznej. Formalnie wchodzi w skład skarbu, a ponieważ są państwo jednocześnie znalazcami i właścicielami nieruchomości, w całości należy do państwa. Reszta biżuterii i zegarków – podobnie.

Ewa patrzyła na obrączki dłużej, niż wymagała tego rozmowa.

– One nie będą u nas leżały w szufladzie – powiedziała w końcu. – Chcielibyśmy je przekazać do muzeum. POLIN albo Instytut, gdziekolwiek uznają to za sensowne. Bez nagrody, bez niczego. Reszta niech zostanie, jak pani mówi, zgodnie z prawem.

Pani Grabowska spojrzała na nią z czymś, co można było nazwać uznaniem, ale nie skomentowała tego głośno. Zanotowała tylko oświadczenie w protokole.

Nagroda za dokumenty i fotografie przyszła trzy miesiące później, skromna, znacznie niższa niż wartość rynkowa tego, co zawierały kartony z biżuterią. Kuba i Ewa zatrzymali resztę zegarków i pierścionków – zgodnie z prawem, bez cienia wątpliwości, po raz pierwszy od dnia, w którym pianino uderzyło w ścianę.

Epilog

Lustro oczyścili i powiesili w przedpokoju, tam gdzie kiedyś stał regał. Ewa uznała, że to jedyny przedmiot z całej historii, który nie należał ani do Niemców, ani do Estery i Alfreda, ani do nikogo, kogo mogliby skrzywdzić, zatrzymując go dla siebie – bo lustro nigdy nie należało do rzeczy, tylko do patrzącego.

Zegarek Heinricha Bergera nigdy nie trafił do protokołu pani Grabowskiej. Wyjechał z Warszawy w teczkę jego wnuka, tydzień po tamtej rozmowie, bez pokwitowania, bez wzmianki w żadnym rejestrze. Ewa nie żałowała tej jednej rzeczy, która ominęła całą procedurę – uznała, że są długi, których nie powinna spisywać urzędniczka, tylko ludzie, których naprawę dotyczą.

Miesiąc później historyk z Żydowskiego Instytutu Historycznego napisał do nich krótki list. Ustalił, że Estera i Alfred mieszkali przed wojną na Lesznie, pobrali się w maju trzydziestego szóstego roku, a ślad po nich urywa się latem czterdziestego drugiego, w transporcie z Umschlagplatzu. Nie odnaleziono ich żadnych żyjących krewnych.

Kuba przeczytał list Ewie na głos, przy kuchennym stole, dokładnie tam, gdzie miesiące wcześniej otwierali pierwszy karton. Nie powiedzieli nic więcej tego wieczoru.

Ta historia nigdy nie ujrzała światła dziennego. Do dzisiaj, bo Wy poznaliście prawdę o wydarzeniach sprzed lat. Ewa i Jakub mieszkają nadal w tym apartamencie, którego tajemnice

być może ujawnią swoim dzieciom. Na świat przyjdą chłopiec i dziewczynka, ale oni jeszcze tego nie wiedzą, to kwestia niedalekiej przyszłości.

Koniec